

## 10. TEORIA

- Czy mogę ci zadać jeszcze tylko jedno pytanie? – poprosiła, zamiast spełnić moje żądanie.

Znajdowałem się na skraju wytrzymałości, czekając z niepokojem na najgorsze. A mimo to jakże kuszące wydawało się przedłużanie tej chwili – by mieć Bellę przy sobie jeszcze przez kilka sekund, póki wciąż chciała przebywać w moim towarzystwie. Westchnąłem, rozważając ten dylemat.

- Tylko jedno – powiedziałem.

- Hm... – zawahała się przez moment, jakby zastanawiała się nad tym, które pytanie zadać. - Mówiłeś, że wiedziałeś, że nie weszłam do księgarni, a potem poszłam na południe. Jak to odgadłeś?

Zapatrzyłem się przed siebie. Następne pytanie, które nie ujawniało nic z jej strony, za to zbyt wiele z mojej.

- Myślałam, że już nic przed sobą nie ukrywamy – wytknęła zawiedziona.

Cóż za ironia. To ona ciągle wykręcała się od odpowiedzi i nawet nie musiała się specjalnie wysilać.

Cóż, chciała, bym był bezpośredni. A ta rozmowa i tak nie prowadziła do niczego dobrego.

- Dobrze, już dobrze. Zwęszyłem twój trop.

Chciałem jej patrzeć prosto w oczy, ale obawiałem się tego, co mogłem zobaczyć. Dlatego przysłuchiwałam się, jak jej oddech przyspiesza, a zaraz potem wyrównuje się. Po chwili znów się odezwała, a jej głos zabrzmiał o wiele pewniej, niż się spodziewałem.

- Nie odpowiedziałeś na jedno z moich pierwszych pytań.

Spojrzałem na nią z grymasem. Ona też grała na zwłokę.

- Na które?

- Jak to działa? Jaki jest mechanizm tego czytania w myślach? – spytała, powtarzając pytanie, które zadała w restauracji. - Potrafisz przeświecić każdego, niezależnie od tego, gdzie jest? Jak to robisz? Czy reszta twojej rodziny...? – urwała, znów się rumieniąc.

- To więcej niż jedno – wytknąłem jej.

Przyglądała mi się jedynie, czekając na odpowiedź.

Czemu miałbym jej nie odpowiedzieć? Już się większości domyśliła, a to na pewno był łatwiejszy temat od tego, który się zbliżał.

- Prócz mnie nikt z rodziny tego nie potrafi. Nie usłyszę też każdego niezależnie od jego oddalenia. Muszę znajdować się dość blisko. Im lepiej dany „głos” znam, tym mi łatwiej. Mimo to maksymalna odległość to zaledwie parę mil. - Spróbowałem wymyślić jakiś sposób, by opisać to tak, by zrozumiała. Szukałem jakiejś analogii, która by jej w tym pomogła. - Można by to przyrównać do przebywania w wielkiej, wypełnionej ludźmi sali. Słyszysz się szmer setek rozmów, lecz każdej z nich z osobna się nie śledzi. Dopiero gdy się skupić na jednej, jej sens staje się jasny. Najczęściej po prostu się wyłączam, za dużo bodźców. Łatwiej też wtedy udawać „normalnego”. - Skrzywiłem się. - Inaczej nawiązywałbym do myśli rozmówcy zamiast do jego wypowiedzi.

- Jak sądzisz, dlaczego mnie nie słyszysz?

Ponownie odpowiedziałem zgodnie z prawdą, uciekając się do kolejnej analogii.

- Nie wiem - przyznałem. - Jedynym wytłumaczeniem, na które wpadłem, jest to, że twój umysł funkcjonuje inaczej niż umysły innych ludzi. Można by rzec, że nadajesz na falach krótkich, a ja odbieram tylko UKF.

Zdałem sobie sprawę, że nie spodoba jej się ta analogia. Oczekując na jej reakcję, nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Nie zawiodła mnie.

- Mój mózg nie pracuje normalnie? - zapytała z niepokojem podniesionym głosem. - Jestem walnięta?

Ach, znów ta ironia.

- Ja tu słyszę w głowie głosy, a ty się przejmujesz, że jesteś wariatką - zaśmiałem się.

Doskonale rozumiała wszystkie te drobne, nieistotne rzeczy, a te naprawdę ważne zupełnie przekręcała. Zawsze kierowały nią niewłaściwe instynkty...

Przygryzła wargę, a zmarszczka między jej brwiami się pogłębiła.

- Nie martw się - pocieszyłem ją. - To tylko teoria. - A do omówienia pozostała dużo ważniejsza teoria. Nie mogłem się doczekać, by mieć to już z głowy. Każda mijająca sekunda coraz bardziej wydawała mi się pożyczonym czasem. - Właśnie, a co z twoją teorią? - spytałem, rozdarty wewnętrznie, ociągając się i jednocześnie niecierpliwiać.

Westchnęła, wciąż przygryzając wargę. Bałem się, że sama może sobie zrobić krzywdę. Popatrzyła mi w oczy zakłopotana.

- Myślałem, że już nic przed sobą nie ukrywamy - powiedziałem cicho.

Odwróciła wzrok, tocząc jakąś wewnętrzną walkę. Nagle zamarła, a jej oczy rozszerzyły się. Po raz pierwszy przez jej twarz przemknął strach.

- Matko Boska! - zawołała.

Wpadłem w panikę. Co takiego zobaczyła? Czym ją tak przeraziłem?

- Natychmiast zwolnij! – krzyknęła.

- Coś nie tak? – Nie rozumiałem, skąd się brał jej strach.

- Jedziesz sto sześćdziesiąt na godzinę! – wrzasnęła.

Zerknęła w bok, ale szybko odwróciła wzrok od śmigających za oknem drzew.

Nadmierna prędkość – taka drobnostka sprawiała, że wrzeszczała ze strachu?

Wywróciłem oczami.

- Spokojnie.

- Chcesz nas zabić? – spytała spiętym, podniesionym głosem.

- Wierz mi, nic nam nie grozi – obiecałem.

Odetchnęła i odezwała się bardziej opanowanym głosem.

- Dokąd ci się tak spieszy?

- Zawsze tak jeżdżę.

Napotkałem jej spojrzenie. Rozbawił mnie jej przerażony wyraz twarzy.

- Patrz na jezdnię!

- Nigdy nie spowodowałem wypadku, Bello. Ba, nawet nie dostałem mandatu. – Uśmiechnąłem się, pukając się w czoło. Cała sytuacja stała się jeszcze bardziej komiczna – absurdałne wydawało się to, że byłem w stanie żartować z nią z czegoś tak poufnego i niezwykłego. – Mam tu wbudowany wykrywacz radarów.

- Ha, ha, ha – zaśmiała się sarkastycznie, bardziej wystraszona niż wściekła. – Pamiętaj, że Charlie jest gliniarzem. Zostałam wychowana w poszanowaniu dla prawa. Poza tym, jeśli zmienisz ten wóz w owinięty wokół drzewa precel, pewnie po prostu otrzepiesz się i pójdziesz do domu.

- Pewnie tak – przyznałem, prychając. Tak, gdyby zdarzył się wypadek, nasze szanse byłyby zgoła inne. Miała prawo się bać, nawet mimo moich umiejętności prowadzenia samochodu. – Ale ty nie.

Z westchnieniem zwolniłem.

- Zadowolona?

Zerknęła na szybkościomierz.

- Prawie.

Dla niej to wciąż było za szybko?

- Nie cierpię się tak wlec – wymamrotałem, pozwalając, by wskazówka szybkościomierza przesunęła się jeszcze niżej.

- To jest dla ciebie wleczenie?

- Skończmy już temat mojego stylu jazdy - powiedziałem zniecierpliwiony. Ile już razy unikała mojego pytania? Trzy? Cztery? Czy jej spekulacje były naprawdę takie straszne? Musiałem się tego natychmiast dowiedzieć. - Nadał czekam, aż zdradzisz mi swoją najnowszą teorię.

Znów przygryzła wargę zmartwiona, niemalże zboląa.

Zapanowałem nad swoim zniecierpliwieniem i złagodziłem ton. Nie chciałem, by się martwiła.

- Nie będę się śmiać - obiecałem, gorąco pragnąc, by się okazało, że to przez zażenowanie nie chciała mówić.

- Boję się raczej, że się rozgniewasz - wyszeptała.

Postarałem się, by mój głos zabrzmiał naturalnie.

- Aż tak źle?

- Obawiam się, że tak.

Wbiła wzrok w dłonie, nie patrząc mi w oczy. Mijały kolejne sekundy.

- Do dzieła - zachęciłem ją.

- Nie wiem, od czego zacząć - stwierdziła cicho.

- Może od samego początku? - Przypomniałem sobie jej słowa sprzed kolacji. - Wspominałaś, że nie wpadłaś na to sama.

- Zgadza się - potwierdziła i znów zamilkła.

Zastanowiłem się nad tym, co mogło jej pomóc wpaść na jakiś pomysł.

- Co ci pomogło? Film? Książka?

Powinienem przejrzeć jej kolekcję, kiedy nie było jej w domu. Nie miałem pojęcia, czy wśród stosu jej starych książek nie było przypadkiem Brama Stokera lub Anne Rice...

- Pojechałam w sobotę nad morze.

Tego się nie spodziewałem. Plotki, które krążyły o nas w okolicy, nigdy nie zbliżyły się do prawdy - nie były ani wystarczająco precyzyjne, ani wystarczająco dziwaczne. Pojawiła się jakaś nowa plotka, którą przeoczyłem? Bella zerknęła na mnie i dostrzegła malujące się na mojej twarzy zaskoczenie.

- Spotkałam przypadkiem kolegę z dzieciństwa, Jacoba Blacka - ciągnęła. - Nasi ojcowie przyjaźnią się od lat.

Jacob Black - nie kojarzyłem tego nazwiska, ale przypominało mi ono o czymś... o czymś, co zdarzyło się dawno temu... Zapatrzyłem się przed siebie, poszukując w myślach wspomnienia, które naprowadziłoby mnie na jakieś powiązanie.

- Ojciec Jacoba jest członkiem starszyny Quileutów.

Jacob Black. *Ephraim Black*. Niewątpliwie jego potomek.

Już gorzej być nie mogło.

Znała prawdę.

Mój umysł zaczął gubić się w domysłach, podczas gdy samochód mijał kolejne ciemne zakręty na drodze. Moje ciało zamarło udręczone – automatycznie wykonywało jedynie te ruchy, których wymagało prowadzenie pojazdu.

Znała prawdę.

Ale.. skoro odkryła prawdę w sobotę... w takim razie wiedziała o tym przez cały wieczór... a mimo to...

- Poszliśmy na spacer... - kontynuowała. - Opowiadał mi różne miejscowe legendy - chyba chciał mnie nastraszyć. Jedna z nich była o...

Zawahała się, ale nie było już miejsca na jej skrupuły. Wiedziałem, co zamierzała powiedzieć. Jediną niewiadomą pozostało to, dlaczego wciąż siedziała tu razem ze mną.

- Mów dalej.

- O wampirach – szepnęła.

Kiedy wypowiedziała te słowa na głos, poczułem się jeszcze gorzej niż wtedy, gdy miałem świadomość, iż zna prawdę. Wzdrygnąłem się na sam ich dźwięk, jednak szybko się opanowałem.

- I od razu pomyślałaś o mnie?

- Nie. To Jacob zdradził mi tajemnicę twojej rodziny.

Cóż za ironia. Kto by przypuszczał, że to potomek Ephraima złamie pakt, który on sam zawarł. Wnuk bądź prawnuk. Ile to lat już minęło? Siedemdziesiąt? Powinienem sobie zdawać sprawę, iż to nie starcy, którzy *wierzyli* w dawne legendy, będą stanowić zagrożenie. Oczywiście, to młode pokolenie mogło nas zdemaskować – ci, którzy zostali ostrzeżeni, ale wyśmiewali się ze starych podań.

Przypuszczałem, iż to oznaczało, że mogłem teraz wymordować całe to niewielkie, bezbronne plemię żyjące na wybrzeżu. Byłem skłonny to zrobić. Ephraim i jego paczka obrońców już od dawna nie żyją...

- Miał to wszystko za głupie przesady – powiedziała nagle Bella z niepokojem. - Nie spodziewałaś się, że mu uwierzę.

Kątem oka dostrzegłem, że wykręca sobie dłonie.

- To moja wina – dodała po chwili. Zawstydzona zwiesiła głowę. - To ja to od niego wyciągnęłam.

- Dlaczego?

Już nie tak trudno było zachować normalny ton głosu. Najgorsze już się stało. Dopóki rozmawialiśmy o szczegółach tej rewelacji, nie musieliśmy przechodzić do konsekwencji, jakie ona za sobą pociągała.

- Lauren dokuczała mi, że nie przyjechałeś z nami, chciała mnie sprowokować. – Skrzywiła się na to wspomnienie. To na moment rozproszyło moją uwagę. Zastanawiałem się, jak ktoś mógł sprowokować Bellę, wspominając o mnie... - Wtedy jeden z Indian powiedział, że twoja rodzina nie zapuszcza się na teren rezerwatu, ale wyczułam, że za tym stwierdzeniem kryje się coś więcej. Postarałam się więc, żebyśmy zostali z Jacobem sam na sam i pociągnęłam go za język.

Spuściła głowę jeszcze niżej. Na jej twarzy malowało się... poczucie winy.

Odwróciłem wzrok i wybuchnąłem śmiechem. *Ona* czuła się winna? Cóż takiego mogła zrobić, by zasłużyć na naganę?

- Ciekawe, jakich sztuczek użyłaś.

- Próbowałam z nim flirtować. Poszło zaskakująco łatwo – wyjaśniła, w jej głosie pobrzmiwało niedowierzanie.

Biorąc pod uwagę pociąg, jaki odczuwali do niej wszyscy chłopcy, podczas gdy ona była tego zupełnie nieświadoma, mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak powalająca musiała się wydawać, gdy *świadomie* próbowała zrobić na kimś wrażenie. Nagle zrobiło mi się żal tego nic nie podejrzewającego chłopca.

- Szkoda, że tego nie widziałem – stwierdziłem, śmiejąc się złowrogo. Żałowałem, że nie miałem okazji usłyszeć, jak chłopak na to zareagował. Żałowałem, że nie mogłem być świadkiem, jakie spustoszenia wywołało to w jego głowie. - Biedny Black. A ty twierdzisz, że to ja macę ludziom w głowach.

Nie byłem tak wściekły na tego, kto mnie zdemaskował, jak sądziłem, że będę. To nie jego wina. Jak mogłem oczekiwać od kogokolwiek, żeby odmówił czegoś tej dziewczynie? Nie, współczułem mu jedynie z powodu zamętu, jaki Bella musiała wywołać w jego głowie.

Poczułem, jak jej rumieniec ogrzewa powietrze pomiędzy nami. Spojrzałem na nią, ale wyglądała przez okno. Nie odezwała się.

- Co zrobiłaś potem? – zachęciłem ją.

Czas wrócić do historii mrożącej krew w żyłach.

- Szukałam informacji w Internecie.

Jak zawsze praktyczna.

- I twoje podejrzenia się potwierdziły?

- Nie. Nic nie układało się w logiczną całość. Roilo się tam od różnych głupot. Aż w końcu... - urwała. Usłyszałem, jak zaciska zęby.

- Co w końcu?

Cóż takiego znalazła? Co wydawało się jej takie koszarne?

Po chwili milczenia wyszeptała:

- Doszłam do wniosku, że to i tak nie ma znaczenia.

Szok zmroził mnie na ułamek sekundy, a potem wszystko ułożyło się w

logiczną całość. To, dlaczego odesłała swoje koleżanki, zamiast odjechać z nimi. To, dlaczego wsiadła ze mną do auta, zamiast zacząć uciekać, wzywając policję...

Jej reakcje były zawsze niewłaściwe – zawsze bardzo niewłaściwe. Sama przyciągała do siebie niebezpieczeństwo. Wręcz je zapraszała.

- *Nie ma znaczenia?* – spytałem przez zaciśnięte zęby. Poczułem wzbierający we mnie gniew. Jak miałem chronić kogoś tak... tak... tak... wzbraniającego się przed tym?

- Nie – odparła nadzwyczaj czułym tonem. - Nie obchodzi mnie to, kim jesteś.

Była niemożliwa.

- Nawet jeśli nie jestem człowiekiem? Jeśli jestem potworem?

- To naprawdę nie ma znaczenia.

Zacząłem się zastanawiać, czy ona jest całkiem zdrowa na umyśle.

Mógłbym zapewnić jej najlepszą dostępną opiekę...Carlisle mógłby wykorzystać swoje kontakty, by sprowadzić dla niej najlepszych lekarzy i terapeutów. Być może istniała jeszcze nadzieja, że uda się naprawić to, co było z nią nie tak. To, co sprawiało, że zadowolona siedziała obok wampira, a jej serce biło równym rytmem. Oczywiście czuwałbym nad tą placówką i odwiedzałbym ją tak często, jak by mi pozwolono.

- Zdenerwowałeś się - westchnęła. - Nie powinnam była mówić.

Tak jakby ukrywanie tych niepokojących skłonności mogło pomóc któremukolwiek z nas.

- Nie. To dobrze, że wiem, co o mnie myślisz. Chociaż to szaleństwo.

- Ta hipoteza to bzdura? – spytała odrobinę zadziornie.

- Nie o to mi chodzi. - Znowu zacisnąłem zęby. - „To nie ma znaczenia”! - zacytowałem wzburzony.

- A więc mam rację? – wyszeptała.

- Czy to ważne? – odparowałem.

Wzięła głęboki wdech. Czekałem ze złością na jej odpowiedź.

- Nie – powiedziała spokojnie. - Ale jestem ciekawa.

„Nie”. To nie miało znaczenia. Nie obchodziło ją to. Wiedziała, że nie jestem człowiekiem, że jestem potworem, i nie miało to dla niej znaczenia.

Odkładając na bok obawy co do jej zdrowia psychicznego, poczułem przypływ nadziei. Spróbowałem go zdławić.

- Co chciałabyś wiedzieć?

Nie mieliśmy już przed sobą sekretów. Pozostały jeszcze tylko mniej istotne szczegóły.

- Ile masz lat?

Odpowiedziałem bez namysłu, odruchowo.

- Siedemnaście.

- I od jak dawna masz te siedemnaście lat?

Spróbowałem powstrzymać uśmiech w odpowiedzi na jej protekcyjny ton.

- Jakiś czas – przyznałem.

- Okej – powiedziała, nagle pełna entuzjazmu.

Uśmiechnęła się do mnie. Kiedy przyjrzałem się jej uważniej, ponownie zaniepokojony jej zdrowiem psychicznym, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Skrzywiłem się.

- Tylko się nie śmiej... – ostrzegła. - Dlaczego możesz pokazywać się w dzień?

Roześmiałem się pomimo jej ostrzeżenia. A więc jej poszukiwania nie przyniosły żadnych wymiernych rezultatów.

- To mit.

- Słońce was nie spala?

- Też mit.

- A co ze spaniem w trumnach?

- Mit.

Sen od bardzo dawna nie był już częścią mojej egzystencji. Dopiero ostatnie kilka nocy, gdy przyglądałem się śpiącej Belli, na nowo wprowadziło go do mojego życia.

- Ja nie śpię – wymamrotałem, odpowiadając obszerniej na jej pytanie.

- Wcale?

- Nigdy – wyszeptałem.

Spojrzałem jej głęboko w oczy, w te jej wielkie oczy otoczone wachlarzem rzęs, i zatęskniłem za snem. Nie dlatego, żeby móc na moment zapomnieć o wszystkim lub uciec nudzie, tak jak tego pragnąłem wcześniej. Nie. Tym razem chciałem *śnić*. Być może gdybym mógł śnić, mógłbym przez kilka godzin żyć w świecie, w którym ona i ja bylibyśmy razem. Ona śniła o mnie. A ja chciałem śnić o niej.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem. Musiałem odwrócić wzrok.

Nie mogłem o niej śnić. Ona nie powinna śnić o mnie.

- Nie zadałaś mi najważniejszego pytania – stwierdziłem.

Moją pierś wypełnił nagle chłód, a ucisk na klatkę piersiową się wzmógł. Musiałem przemówić jej do rozsądku. Powinna zdawać sobie sprawę z tego, co

właśnie robi. Trzeba było ją przekonać, że to wszystko miało ogromne znaczenie, większe niż wszystkie inne względy. Jak choćby fakt, że ją kochałem.

- To znaczy? - spytała zaskoczona i zupełnie nieświadoma tego wszystkiego, przez co mój głos nabrał hardości.

- Nie interesuje cię moja dieta?

- Ach, to - mruknęła tonem, którego nie potrafiłem zinterpretować.

- Tak, to. Nie chcesz wiedzieć, czy piję krew?

Wzdrygnęła się. Wreszcie. Zaczynała rozumieć.

- Jacob coś wspominał...

- Co powiedział?

- Że... że nie polujecie na ludzi. Stwierdził, że ponoć nie jesteście niebezpieczni, ponieważ ograniczacie się do zwierząt.

- Powiedział, że nie jesteśmy niebezpieczni? - powtórzyłem z cynizmem.

- Niezupełnie. Że ponoć nie jesteście niebezpieczni. Ale plemię Quileute na wszelki wypadek nie wpuszcza was na swój teren.

Spojrzałem na drogę. Moja głowa była kłębowiskiem myśli. Poczułem znajome palące pragnienie.

- To prawda? - spytała spokojnie, jakby pytała o potwierdzenie prognozy pogody. - Nie polujecie na ludzi?

- Quileuci mają dobrą pamięć.

Pokiwała głową zamyślona.

- Tylko się z tego powodu nie rozluźniaj - ostrzegłem. - Dobrze robia, trzymając się od nas z daleka. Jesteśmy nadal niebezpieczni.

- Nie rozumiem.

Najwyraźniej nie. Co zrobić, by przejrzała na oczy?

- Staramy się, jak możemy - wyjaśniłem - i zazwyczaj nam wychodzi. Czasami jednak popełniamy błędy. Tak jak na przykład ja, pozwalając ci być ze mną sam na sam.

Jej zapach wciąż stanowił pokusę. Zaczynałem się do niego przyzwyczajać, byłem w stanie go nawet ignorować, ale nie mogłem zaprzeczyć temu, iż moje ciało wciąż pożałowało jej bliskości z zupełnie niewłaściwych powodów. Moje usta wypełnione były jadem.

- To błąd?

Wyczułem rozpacz w jej głosie. Rozbroiła mnie tym. Pragnęła być ze mną - pomimo wszystkich przeciwności pragnęła być ze mną. Ponownie wezbrała we mnie nadzieja, ale odparłem ją.

- Błąd, który może nas drogo kosztować - stwierdziłem zgodnie z prawdą,

marząc o tym, by prawda mogła w jakiś sposób przestać się liczyć.

Nie odzywała się przez chwilę. Usłyszałem zmianę w rytmie jej oddechu, choć nie wynikała ona ze strachu.

- Opowiedz coś więcej – rzuciła nagle udręczonym tonem.

Przyjrzałem się jej uważnie.

Cierpiała. Jak mogłem do *tego* dopuścić?

- Co jeszcze chciałabyś wiedzieć? – spytałem, starając się znaleźć jakiś sposób, by już dłużej nie cierpiała. Nie powinna cierpieć. Nie mogłem pozwolić, by cierpiała.

- Może powiedz, dlaczego polujecie na zwierzęta zamiast na ludzi – powiedziała jęklonie.

Czy to nie było oczywiste? A może to też nie miało dla niej znaczenia.

- Nie chcę być potworem - wyszeptalem.

- Ale same zwierzęta nie wystarczają?

Zastanowiłem się nad kolejnym porównaniem, które mogłoby pomóc jej to zrozumieć.

- Oczywiście nie mogę mieć pewności, ale można by to chyba przyrównać do żywienia się serkiem tofu i mlekiem sojowym - w żartach nazywamy siebie wegetarianami. Taka dieta głodu, czy też raczej pragnienia, do końca nic zaspokaja, ale mamy dość sił, by nie ulegać pokusom. Zazwyczaj. - Zniżyłem głos. Było mi wstyd, że narażałem ją na takie niebezpieczeństwo. - Czasem jest naprawdę ciężko.

- Czy teraz musisz walczyć ze sobą?

Westchnąłem. Oczywiście musiała zadać pytanie, na które nie chciałem odpowiadać.

- Muszę.

Tym razem jej fizyczne reakcje nie zaskoczyły mnie. Oczekiwałem tego: oddychała równomiernie, a jej serce biło normalnie. Spodziewałem się tego, choć nie potrafiłem tego pojąć. Dlaczego się nie bała?

- Ale teraz nie jesteś głodny - oświadczyła z przekonaniem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zgaduję po oczach – oświadczyła bezceremonialnie. - Mówiłam ci już, mam pewną teorię. Zauważyłam, że ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, robią się drażliwi, kiedy doskwiera im głód.

Parsknąłem śmiechem: *drażliwi*. Cóż za niedopowiedzenie! Ale jak zwykle miała całkowitą rację.

- Jesteś spostrzegawcza, nie ma co!

Znów się zaśmiałem. Uśmiechnęła się delikatnie, a pomiędzy jej brwiami

ponownie pojawiła się głęboka zmarszczka, jakby bardzo się nad czymś koncentrowała.

- Czy w weekend polowałeś z Emmettem? - spytała, gdy przestałem się śmiać.

Jej niedbały ton był równie fascynujący co frustrujący. Naprawdę mogła tyle zaakceptować za jednym razem? Najwyraźniej to ja byłem w większym szoku niż ona.

- Tak - potwierdziłem i miałem już na tym poprzestać, ale nagle poczułem ten sam impuls co w restauracji: pragnąłem, żeby mnie poznała. - Nie miałem ochoty wyjeżdżać - ciągnąłem powoli - ale to było konieczne. Łatwiej mi z tobą przebywać, gdy nie odczuwam pragnienia.

- Czemu nie chciałeś wyjechać?

Wziąłem głęboki wdech i spojrzałem jej w oczy. W tym przypadku szczerość sprawiała mi kłopoty z całkiem innymi powodów niż poprzednio.

- Jestem... jestem nieswój... - Przypuszczałem, że to słowo wystarczy, choć nie miało tak silnego zabarwienia, jak powinno. - Kiedy... nie ma cię w pobliżu. Nie kpiłem, prosząc w czwartek, żebyś nie wpadła do oceanu lub pod samochód. Cały weekend martwiłem się o ciebie. A po tym, co cię dzisiaj spotkało, dziwię się, że zdołałaś przetrwać kilka dni bez żadnych obrażeń. - Wówczas przypomniałem sobie o otarciach na jej dłoniach. - No, niezupełnie.

- O co ci chodzi?

- O twoje dłonie.

Westchnęła, krzywiąc się.

- Przewróciłam się.

A więc zgadłem.

- Tak też myślałem - odparłem, niezdolny powstrzymać uśmiechu. - Ale, jako że ty to ty, mogło ci się przytrafić coś znacznie gorszego. Przez cały wyjazd nie dawało mi to spokoju. To były okropne trzy dni. Biedny Emmett miał ze mną piekło.

Prawdę mówiąc, nie powinienem używać czasu przeszłego. Prawdopodobnie wciąż irytowałem Emmetta i resztę mojej rodziny. Oprócz Alice...

- Trzy? - spytała ostrzejszym tonem. - Nie wróciliście dzisiaj?

Nie rozumiałem, czemu ją to tak dotknęło.

- Nie, w niedzielę.

- To czemu nie pojawiliście się w szkole?

Jej irytacja zdziwiła mnie. Nie zdawała sobie sprawy, że to pytanie było jednym z tych, które wiązały się z naszą mitologią.

- No cóż, pytałaś, czy słońce nam szkodzi. Nie szkodzi, ale nie możemy

wychodzić na dwór w wyjątkowo słoneczne dni - a przynajmniej nie przy świadkach.

Już nie była tak dziwnie rozdrażniona.

- Dlaczego? - spytała, przekrzywiając w bok głowę.

Wątpilem, bym mógł wymyślić odpowiednią analogię, aby jej to wyjaśnić.

- Kiedyś ci pokażę.

Wówczas zacząłem się zastanawiać, czy to była obietnica, którą miałem ostatecznie złamać. Zobaczę ją jeszcze? Kochałem ją wystarczająco mocno, by znieść rozstanie z nią?

- Mogłeś do mnie zadzwonić.

Cóż za dziwna konkluzja.

- Przecież wiedziałem, że nic ci nie grozi.

- Ale ja nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Widzisz... - urwała, wbijając wzrok w swoje dłonie.

- Co takiego?

- Było mi źle - stwierdziła nieśmiało, a na jej twarzy wykwitł rumieniec. - Że cię nie widuję. Też czułam się nieswojo.

*Jesteś teraz zadowolony?*, zapytałem sam siebie. Oto moje nadzieje ziściły się.

Byłem oszołomiony, szczęśliwy i przerażony - przede wszystkim przerażony - gdy uświadomiłem sobie, iż moje najdziksze marzenia nie odbiegały wcale tak daleko od rzeczywistości. To dlatego fakt, iż jestem potworem nie miał dla niej żadnego znaczenia. Dokładnie z tego samego powodu wszelkie zasady przestały się liczyć także dla mnie. To, co było dobre, a co złe, nie miało już znaczenia. Lista moich priorytetów została ponownie uporządkowana tak, by zrobić miejsce na samym szczycie dla tej dziewczyny.

Ja również nie byłem obojętny Belli.

Wiedziałem, iż to może być nic w porównaniu do mojej miłości. Ale wystarczyło, by ryzykowała własnym życiem, siedząc tu ze mną. I robiła to z taką ochotą.

Wystarczyło, by zadać jej ból, gdybym zrobił to, co powinienem, i ją opuścił.

Czy istniało teraz coś, co mógłbym zrobić i jej *nie* zranić? Cokolwiek?

Powinienem był trzymać się od niej z daleka. Nie powinienem był w ogóle wracać do Forks. Teraz przysporzę jej tylko cierpienia.

Czy to mogło powstrzymać mnie przed pozostaniem w Forks? Przed pogorszeniem sytuacji?

To, co czułem w tej chwili, jej ciepło...

Nie. Nic nie mogło mnie powstrzymać.

- A więc tak to wygląda - jęknąłem. - To bardzo niedobrze.

- Co ja takiego powiedziałam? - spytała, gotowa, by wziąć winę na siebie.

- Nie pojmujesz, Bello? To, że ja się zadręczam, to jeszcze nic takiego, ale jeśli i ty jesteś tak zaangażowana uczuciowo... Nawet nie chcę o tym słyszeć. - To była prawda. To było kłamstwo. Najbardziej egoistyczna część mnie radowała się z faktu, że Bella pragnęła mnie tak, jak ja pragnąłem jej. - Tak nie może być. To niebezpieczne. Ja jestem niebezpieczny. Wbij to sobie wreszcie do głowy, dziewczyno.

- Przestań. - Wydeła wargi rozdrażniona.

- Nie żartuję.

Toczyłem ze sobą beznadziejną walkę - z jednej strony chciałem, by przyjęła to do wiadomości, a z drugiej nie chciałem jej już ostrzegać - przez co moje słowa brzmiały, jakbym cedził je przez zaciśnięte zęby.

- Ja też nie - podkreśliła. - I powtarzam - to, kim jesteś, nie ma dla mnie znaczenia. Już za późno, by coś zmienić.

Za późno? Przez jedną nie kończącą się sekundę świat stał się nagle ponury i czarno-biały, gdy we wspomnieniach obserwowałem cienie skradające się po skąpanej w promieniach słońca łące w stronę śpiącej Belli. Nieuniknione i niemożliwe do zatrzymania. Pozbawiły jej skórę koloru, a ją samą pograżyły w ciemności.

Za późno? Wizja Alice zawirowała mi przed oczami - teraz spoglądałem na Bellę wpatrującą się we mnie obojętnie czerwonymi oczyma. Oczyma bez wyrazu - ale to niemożliwe, by mnie *nie* znienawidziła za taką przyszłość. Za okradzenie jej ze wszystkiego, co posiadała. Za odebranie jej życia i duszy.

Nie mogło być jeszcze za późno.

- Nigdy tak nie mów - syknąłem.

Wyrzała przez okno, znowu przygryzając wargę. Dłonie zaciśnięte w pięści trzymała na kolanach. Jej oddech przyspieszył, stał się przerywany.

- O czym myślisz? - Musiałem to wiedzieć.

Pokręciła głową, nawet na mnie nie patrząc. Zauważyłem coś błyszczącego na jej policzku.

Przeglądanie się temu było dla mnie udręką.

- Płaczesz?

Doprowadziłem ją do płaczu. Aż tak ją zraniłem.

Wytarła łzy wierzchem dłoni.

- Nie - skłamała łamiącym się głosem.

Jakiś głęboko ukryty instynkt kazał mi wyciągnąć rękę w jej kierunku - w

tej chwili poczułem się bardziej człowiekiem niż kiedykolwiek wcześniej. Ale wówczas uświadomiłem sobie, że nim nie jestem. Opuściłem rękę.

- Wybacz – odparłem przez zaciśnięte zęby.

Jak mógłbym jej kiedykolwiek wytłumaczyć, jak bardzo było mi przykro? Za te wszystkie głupie pomyłki, których się dopuściłem. Za mój bezkresny egoizm. Za to, iż miała pecha, by stać się obiektem mojej pierwszej, nieszczęśliwej miłości. Oraz za rzeczy, nad którymi nie panowałem – za to, że byłem potworem, któremu los przeznaczył zakończyć jej życie.

Odetchnąłem głęboko, ignorując swoje odruchy w odpowiedzi na zapach, jaki wypełniał wnętrze samochodu. Spróbowałem wziąć się w garść.

Chciałem zmienić temat, pomyśleć o czymś innym. Na szczęście moja ciekawość w stosunku do tej dziewczyny była nienasycona. Zawsze miałem w zanadrzu jakieś pytanie.

- Wyjaśnij mi coś.

- Tak? – spytała ochryplym tonem.

- Powiedz mi, o czym myślałaś tam, na ulicy, tuż przed tym, jak wyjechałem z za rogu? Twoja mina mnie zaskoczyła. Nie wyglądałaś na wystraszoną, tylko jakbyś próbowała się na czymś intensywnie skoncentrować.

Przypomniałem sobie jej twarz, malującą się na niej determinację – zmuszając się, by zapomnieć, kogo oczyma ją obserwowałem.

- Usiłowałam przypomnieć sobie, jak unieszkodliwić napastnika – odparła bardziej opanowana. - No wiesz, podstawy samoobrony. Zamierzałam wgnieść temu gościowi nos w mózg.

Ostatnie słowa wypowiedziała głosem kipiącym nienawiścią. To nie była hiperbola, a jej kocia furia przestała być zabawna. Widziałem jej kruchą postać – jak szkło pokryte jedwabiem – i górujące nad nią sylwetki masywnych potworów, którzy ją prześladowali, chcąc ją skrzywdzić. Gniew znów we mnie zawrzał.

- Chciałaś się z nimi bić? – Zdusiłem w sobie warknięcie. Jej instynkt samozachowawczy był śmiertelną pułapką... dla niej samej. - Mogłaś po prostu rzucić się do ucieczki.

- Często się potykam i przewracam – wyznała.

- A co z krzyczeniem „ratunku”?

- Właśnie się do tego zabierałam.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Jak ona zdołała utrzymać się przy życiu, zanim zjawiała się w Forks?

- Miałaś rację – oznajmiłem kwaśno. - Sprzeciwiam się przeznaczeniu, próbując utrzymać cię przy życiu.

Westchnęła, wyglądając przez okno. A potem obróciła się z powrotem w

moją stronę.

- Jutro będziesz już w szkole? – spytała nagle.

Skoro byłem w drodze do piekła, mogłem równie dobrze rozkoszować się tą podróżą.

- Będę, będę. Też mam wypracowanie do oddania. - Uśmiechnąłem się do niej i poczułem się lepiej. - Zajmę dla ciebie miejsce w stołówce.

Jej serce zabiło mocniej, a moje martwe serce nagle wypełniło ciepło.

Zatrzymałem wóz przed domem jej ojca. Nie ruszyła się, by wysiąść.

- Słowo honoru, że będziesz jutro w szkole?

- Słowo.

Dlaczego postępowanie niewłaściwie napełniało mnie takim szczęściem? Z pewnością coś tu było na opak.

Pokiwała głową usatysfakcjonowana i zaczęła ściągać moją kurtkę.

- Zatrzymaj ją – zapewniłem ją pośpiesznie. Woląłem, by miała przy sobie coś należącego do mnie. Jakiś symbol – jak kapsel od butelki, który trzymałem w kieszeni... - Nie będziesz miała, w co się rano ubrać.

Wręczyła mi z powrotem kurtkę, uśmiechając się smutno.

- Nie chcę się tłumaczyć przed Charliem.

Potrafiłem sobie to wyobrazić. Odpowiedziałem uśmiechem.

- Jasne.

Położyła dłoń na klamce, ale jej nie nacisnęła. Nie miała ochoty wysiadać. Podobnie jak ja nie miałem ochoty pozwolić jej odejść.

I zostawić ją bez opieki, choćby na parę minut...

Peter i Charlotte byli już w drodze, bez wątpienia minęli Seattle dawno temu. Ale inne wampiry zawsze stanowiły zagrożenie. Ten świat nie był bezpiecznym miejscem dla ludzi, a w szczególności dla niej.

- Bello? – Zaskoczyło mnie, że samo wypowiedzianie jej imienia sprawiało mi taką przyjemność.

-Tak?

- Obiecasz mi coś?

- Oczywiście – zgodziła się z miejsca. Jednak po chwili jej oczy zwęziły się, jakby przyszedł jej na myśl jakiś powód, by zaoponować.

- Nie chodź sama po lesie – ostrzegłem ją, zachodząc w głowę, czy ta prośba wywoła jej sprzeciw.

Zamrugła zdziwiona.

- Ale dlaczego?

Zapatrzyłem się w ciemność, której nie mogłem ufać. Brak światła nie stanowił problemu dla moich oczu, ale dla innego łowcy to również nie byłby kłopot. Jedynie ludziom utrudniało to widzenie.

- Nie jestem jedyną niebezpieczną istotą w okolicy. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

Wzdrygnęła się, ale szybko się opanowała. Gdy mi odpowiadała, nawet się uśmiechała.

- Nie ma sprawy.

Owionął mnie jej oddech – słodki i aromatyczny.

Mógłbym tu tak siedzieć choćby całą noc, ale ona musiała się wyspać. Dwa pragnienia toczyły we mnie walkę: pragnąłem jej i pragnąłem jej bezpieczeństwa.

Westchnąłem – tych dwóch rzeczy nie dało się pogodzić.

- Do jutra – powiedziałem, wiedząc, że zobaczą ją dużo wcześniej. Jednak ona nie zobaczy *mnie* aż do jutra.

- Cześć – pożegnała się, otwierając drzwi.

Przyglądanie się, jak odchodzi, było dla mnie udręką.

Pochyliłem się w jej stronę, pragnąc ją tu zatrzymać.

- Bello?

Odwróciła się i zamarła, zaskoczona bliskością naszych twarzy. Ta bliskość mnie również przytłoczyła. Gorąco rozchodziło się od niej stopniowo, falami, pieszcząc moją twarz. Mogłem niemalże poczuć jedwab jej skóry...

Jej serce załomotało, a wargi rozchyliły się.

- Miłych snów – wyszeptałem. Odchyliłem się, zanim gwałtowne potrzeby mojego ciała – czy to znajome pragnienie, czy też całkiem nowy, osobliwy głód, jaki nagle poczułem – kazałyby mi zrobić coś, co mogło ją skrzywdzić.

Przez chwilę siedziała nieruchomo z szeroko otwartymi oczami. Oszołomiona zapewne.

Tak jak ja.

Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą, choć wciąż była odrobinę dezorientowana. Niemalże wypadła z samochodu, potykając się o własną nogę. Musiała się chwycić drzwi, żeby odzyskać równowagę.

Zaśmiałem się cicho, mając nadzieję, że nie zdołała tego usłyszeć.

Obserwowałem, jak chwiejnym krokiem dociera do smugi światła, która padała na frontowe drzwi. Na jakiś czas była bezpieczna. A ja wrócić wkrótce, by się upewnić.

Czułem na sobie jej wzrok, gdy odjeżdżałem ciemną ulicą. Uczucie to zupełnie różniło się od tego, do którego byłem przyzwyczajony. Zazwyczaj

mogłem przyglądać się sobie poprzez oczy ludzi spoglądających za mną. Jakże dziwnie ekscytujące wydawało się to trudne do określenia uczucie, gdy ktoś śledził cię wzrokiem. Wiedziałem, iż działo się tak dlatego, że to *ona* mnie obserwowała.

Miliony myśli przemykały mi przez głowę, gdy jechałem przed siebie pod osłoną nocy.

Przez długi czas krążyłem bez celu ulicami. Myślałem o Belli i o niesamowitej uldze, jaką odczułem, gdy prawda wyszła na jaw. Nie musiałem się już dłużej lękać, że Bella odkryje, kim jestem. Wiedziała. I nie obchodziło ją to. Mimo że oczywiście dla niej nie była to dobra rzecz, ja poczułem się wyzwolony.

Oprócz tego myślałem o Belli i odwzajemnionej miłości. Nie mogła mnie kochać tak, jak ja kochałem ją. Taka przytłaczająca, pochłaniająca wszystko na swojej drodze miłość prawdopodobnie zmiażdżyłaby jej wątłe ciało. Ale Bella była wystarczająco silna. Wystarczająco silna, by pokonać instynktowny lęk. Wystarczająco silna, by pragnąć być ze mną. A bycie z nią było największym szczęściem, jakie mogłem sobie wyobrazić.

Przez chwilę, skoro byłem całkiem sam i dla odmiany nie ranilem nikogo, pozwoliłem sobie radować się tym szczęściem, nie zastanawiając się nad ponurymi aspektami tej sprawy. Zwyczajnie cieszyłem się z tego, że nie byłem Belli obojętny. Rozkoszowałem się swoim triumfem – zdobyciem jej względów. Wyobrażałem sobie, jak dzień w dzień siadam przy niej, przysłuchuję się jej głosowi i zasługuję sobie na jej uśmiechy.

Odtwarzałem w myślach ten uśmiech. Obserwowałem, jak kąciki jej pełnych ust unoszą się, jak niewyraźny dołeczek pojawia się w jej podbródku, jak jej oczy rozjaśniają się... Jej palce wydawały się niezmiernie ciepłe i delikatne dziś wieczorem. Wyobrażałem sobie, jakie byłoby to uczucie dotknąć tę delikatną skórę na jej policzkach – jedwabistą, ciepłą... niewiarygodnie kruchą. Jak szkło okryte jedwabiem... przerażająco kruche.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, dokąd prowadziły moje myśli, aż było już za późno. Gdy tak myślałem o jej bezbronności i podatności na zagrożenia, nowe obrazy zakłóciły moje marzenia.

Jej twarz ukryta w cieniu, pobladła ze strachu. Mimo to szczękę miała zaciśniętą, a spojrzenie zacięte i skoncentrowane. Jej szczupłe ciało przygotowane było na oparcie ataku otaczających ją napastników jak z najgorszych koszmarów...

- Ach – jęknąłem, gdy ponownie zawrzał we mnie niepohamowany gniew, o którym zapominałem, myśląc o niej.

Byłem sam. Ufałem, iż Bella była przez jakiś czas bezpieczna w swoim domu. Zacząłem cieszyć się z tego, że Charlie Swan – komendant policji, wyszkolony i uzbrojony – był jej ojcem. Ten fakt mimo wszystko coś znaczył i powinien zapewnić jej niezbędną ochronę.

Była bezpieczna. Zemsta nie zabierze mi dużo czasu...

Nie. Zaslugiwała na coś lepszego. Nie mogłem pozwolić, by darzyła uczuciem mordercę.

Ale... Co z innymi?

Bella była bezpieczna. Tak. Angela i Jessica również na pewno już spały w swoich łóżkach.

Jednak potwór wciąż chodził sobie po ulicach Port Angeles. Potwór był człowiekiem, ale czy to czyniło z niego wyłącznie problem ludzi? Morderstwo, które chciałem popełnić, było złe. Wiedziałem o tym. Ale pozostawienie go na wolności, by mógł zaatakować kolejne ofiary, również nie wchodziło w grę.

Blondynka z restauracji. Kelnerka, na którą nawet nie spojrzałem. Obie trochę mnie irytowały, ale to nie znaczyło, że zasługiwały na to, by narażać je na niebezpieczeństwo.

Któraś z nich mogła być czyjaś Bellą.

Ten fakt przesądził sprawę.

Skręciłem na północ, przyspieszając teraz, kiedy miałem przed sobą cel. Zawsze gdy miałem jakiś konkretny problem, który był ponad moje siły, wiedziałem, gdzie się zwrócić o pomoc.

Alice siedziała na werandzie, oczekując mnie. Zatrzymałem się przed domem, zamiast wjechać do garażu.

- Carlisle jest w swoim gabinecie – powiedziała, zanim zdążyłem zapytać.

- Dziękuję – odparłem, mierzwiąc jej włosy, gdy przechodziłem.

*Dzięki, że odebrałaś, jak dzwoniłam, pomyślała z przekąsem.*

- Och.

Zatrzymałem się przed drzwiami, wyciągnąłem telefon i go otworzyłem.

- Przepraszam. Nawet nie sprawdzałem, kto dzwonił. Byłem... zajęty.

- Jasne, wiem. Ja też cię przepraszam. Zanim zobaczyłam, co ma się stać, byłeś już w drodze.

- Było blisko – wymamrotałem.

*Przepraszam, powtórzyła zawstydzona.*

Teraz gdy wiedziałem, że Bella jest bezpieczna, łatwo było udawać wspaniałomyślnego.

- Nie przepraszaj. Wiem, że nie możesz wyłapywać wszystkiego. Nikt nie oczekuje, że będziesz wszechwiedząca, Alice.

- Dzięki.

- Omal nie zaprosiłem cię dziś na kolację – zobaczyłaś to, zanim zmieniłem zdanie?

Wyszczерzyła zęby w uśmiechu.

- Nie, to też przeoczyłam. Szkoda, że nie wiedziałam. Przyjechałabym.

- Nad czym się tak koncentrowałaś, że przegapiłaś tyle rzeczy?

*Jasper myśli o naszej rocznicy. Zaśmiała się. Próbuje nie podejmować żadnej decyzji co do mojego prezentu, ale sądzę, że mam całkiem niezłe pojęcie, co planuje...*

- Jesteś bezwstydna.

- Wiem.

Zacisnęła usta, spoglądając na mnie intensywnie z cieniem oskarżenia w oczach.

*Natomiast później lepiej uważałam. Masz zamiar powiedzieć im, że ona wie?*

Westchnąłem.

- Tak. Później.

Ja nic nie powiem. Ale wyświadczyć mi przysługę i powiedz Rose, gdy nie będzie mnie w pobliżu, dobra?

Wzdrygnąłem się.

- Jasne.

Bella przyjęła to całkiem dobrze.

- Zbyt dobrze.

Alice uśmiechnęła się szeroko.

*Nie doceniasz Belli.*

Próbowałem zablokować obraz, którego nie chciałem oglądać – Bella i Alice jako najlepsze przyjaciółki.

Westchnąłem ciężko, zniecierpliwiony. Pragnąłem, by ta część nocy już się skończyła. Chciałem mieć to w końcu za sobą. Jednak martwiłem się, że muszę na trochę opuścić Forks...

- Alice...

Zobaczyła, o co planowałem ją poprosić.

Dziś w nocy nic jej nie grozi. Teraz mam już na nią oko. Ona chyba potrzebuje dwudziestoczworgodzinnego nadzoru, co nie?

- Co najmniej.

- W każdym razie niedługo ją zobaczysz.

Wziąłem głęboki wdech. Te słowa były muzyką dla moich uszu.

- No dalej, zrób to, co konieczne, żebyś mógł być tam, gdzie pragniesz być.

Kiwnąłem głową i pobiegłem do gabinetu Carlisle'a.

Czekał na mnie ze wzrokiem utkwionym bardziej w drzwiach niż w grubej książce leżącej na biurku.

- Słyszałem, jak Alice mówi ci, gdzie mnie znajdziesz - stwierdził z uśmiechem.

Poczułem ulgę, widząc przebłysk empatii i inteligencji w jego oczach. Carlisle będzie wiedział, co robić.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Proś, o co chcesz, Edwardzie.

- Czy Alice powiedziała ci, co przytrafiło się dzisiaj Belli?

*Prawie przytrafiło, poprawił mnie.*

- Tak, prawie. Mam dylemat, Carlisle. Widzisz, mam... wielką ochotę... by go zabić. - Zacząłem wyrzucać z siebie słowa. - Wielką... Ale wiem, że to byłoby złe, ponieważ chcę się zemścić, a nie wymierzyć sprawiedliwość. Kieruje mną gniew, nie jestem bezstronny. Mimo to nie mogę pozwolić, by seryjny gwałcieł i morderca błąkał się po ulicach Port Angeles! Nie znam tamtejszych ludzi, ale nie mogę dopuścić do tego, by ktoś inny stał się jego ofiarą w miejsce Belli. Tamte kobiety - ktoś może do nich czuć to, co ja czuję do Belli. Cierpiałby tak samo, jak ja bym cierpiał, gdyby wyrządzono jej krzywdę. Nie mogę tego tak zostawić...

Nagle szeroki uśmiech, jaki zagościł na jego twarz, sprawił, że urwałem w pół słowa.

Ona ma na ciebie bardzo dobry wpływ, prawda? Tyle współczucia, tyle samokontroli. Jestem pod wrażeniem.

- Nie szukam komplementów, Carlisle.

- Oczywiście, że nie. Ale nic nie mogę poradzić na moje myśli. - Ponownie się uśmiechnął. - Zajmę się tym. Możesz odetchnąć. Nikomu nie stanie się już krzywda.

W jego myślach ujrzałem gotowy plan działania. Nie do końca spełniał moje oczekiwania. Nie mógł mnie zadowolić plan bez odrobiny brutalności, ale wiedziałem, że tak należy postąpić.

- Pokażę ci, gdzie go znaleźć.

- Chodźmy.

Złapał po drodze swoją czarną torbę. Wolałbym bardziej bezwzględną formę pozbawiania kogoś przytomności - jak na przykład pękniętą czaszkę - ale pozwolę Carlisle'owi zrobić to po swojemu.

Wzięliśmy mój samochód. Alice wciąż siedziała na schodach. Uśmiechnęła się szeroko i pomachała nam, gdy odjeżdżaliśmy. Zobaczyłem w jej myślach, że już sprawdziła naszą przyszłość - nie będziemy mieli żadnych trudności.

Podróż nie trwała długo. Jechaliśmy ciemną, pustą drogą. Wyłączyłem

światła, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi. Uśmiechnąłem się na myśl o tym, jak Bella zareagowałaby na *taką* prędkość. Wtedy i tak jechałem już wolniej, by móc dłużej rozkoszować się jej obecnością, gdy zaprotestowała.

Carlisle również myślał o Belli.

Nie przewidziałem, że będzie miała na niego taki dobry wpływ. Nie spodziewałem się tego. Może to przeznaczenie. Może posłuży to jakiemuś wyższemu celowi. Tylko że...

Wyobraził sobie Bellę ze śnieżnobiałą, zimną cerą i czerwonymi oczami. Wzdrygnął się.

Tak, dokładnie. *Tylko że...* W rzeczy samej. Jak mogło być coś dobrego w zniszczeniu czegoś tak czystego i pięknego?

Spoglądałem gniewnie przed siebie – całą radość wieczoru zniweczyły jego myśli.

*Edward zasługuje na szczęście. Należy mu się to.* Intensywność jego myśli zaskoczyła mnie. *Musi być z tego jakieś wyjście.*

Chciałbym w to wierzyć. Ale nie istniał żaden wyższy cel. Tylko złośliwa harpia – okropny los, który nie baczył na to, czy Bella zasługuje na życie.

Nie zostałem długo w Port Angeles. Zawiozłem Carlisle'a do speluny, w której potwór o imieniu Lonnie topił swoje rozczarowanie w alkoholu razem z przyjaciółmi – dwóch z nich już odpłynęło. Carlisle widział, jak trudno mi przebywać tak blisko niego – słyszeć jego myśli i oglądać jego wspomnienia. Wspomnienia o Belli wymieszane ze wspomnieniami o innych dziewczynach, które nie miały tyle szczęścia i których nikt już nie mógł uratować.

Mój oddech przyspieszył. Zaciśnąłem ręce na kierownicy.

*Wracaj, Edward, pomyślał czule. On już nikogo nie skrzywdzi. Wracaj do Belli.*

Właśnie tego potrzebowałem. Tylko jej imię mogło w tym momencie wyrwać mnie z transu.

Zostawiłem go w samochodzie i pobiegłem z powrotem do Forks po prostej linii poprzez uśpiony las. Zajęło mi to mniej czasu niż poprzednia podróż pędzącym samochodem. Kilka minut później już wspinałem się do jej okna. Otworzyłem je.

Westchnąłem cicho z ulgą. Wszystko było w należytym porządku. Bella leżała bezpiecznie w swoim łóżku. Jej mokre włosy splecione jak wodorosty spoczywały na poduszce.

Ale w przeciwieństwie do innych nocy spała zwinięta w kulkę pod kołdrą. Z pewnością było jej zimno, domyśliłem się. Zanim zdążyłem usiąść na swoim zwykłym miejscu, zadygotała, a jej usta zadrżały.

Po chwili namysłu postanowiłem zwiedzić kolejną część jej domu. Wymknąłem się na korytarz. Charlie głośno chrapał. Mogłem niemal wyłapać

treść jego snu. Coś związanego z wodą i cierpliwym oczekiwaniem... być może wędkowanie?

Na szczycie schodów dostrzegłem obiecująco wyglądającą szafkę. Pełen nadziei otworzyłem ją i znalazłem to, czego szukałem. Wybrałem najgrubszy koc i zaniósłem go do jej pokoju. Odłożę go na miejsce, zanim się obudzi. Nikt się o tym nie dowie.

Wstrzymując oddech, ostrożnie otuliłem ją kocem. Nie zareagowała na dodatkowy ciężar. Usiadłem w bujanym fotelu.

Czekając aż zrobi się jej cieplej, rozmyślałem o Carlisle'u, zastanawiając się, gdzie teraz był. Wiedziałem, że jego plan przebiegnie bez zarzutu – Alice to przewidziała.

Na myśl o swoim ojcu westchnąłem. Carlisle darzył mnie zbyt wielkim zaufaniem. Chciałbym być tą osobą, za którą mnie uważał. Osobą, która zasługiwała na szczęście, która mogła mieć nadzieję, że jest warta tej śpiącej dziewczyny. Jakże inaczej by się miały sprawy, gdybym był tym Edwardem.

Gdy tak rozmyślałem, dziwna, bezimienna wizja wypełniła moje myśli.

Na chwilę okrutny los o twarzy harpii z moich wyobrażeń, który chciał zniszczyć Bellę, został zastąpiony przez najbardziej bezmyślnego i nierozważnego z aniołów. Anioła stróża – możliwe, że Carlisle wyobrażał sobie mnie jako kogoś takiego. Z kpiącym uśmieszkiem i psotą czającą się w oczach koloru nieba anioł stworzył Bellę w taki sposób, że nie było możliwości, bym mógł jej nie zauważyć. Jej niesamowicie silny zapach zabiegał o moją uwagę, niemożliwy do odczytania umysł rozbudzał moją ciekawość, delikatne piękno zatrzymywało na dłużej moje spojrzenie, a bezinteresowna dusza wprawiała w podziw. Anioł pozbawił ją instynktu samozachowawczego, by Bella była w stanie znieść moją obecność, i na koniec dodał niekończącego się, wyjątkowego pecha.

Nieodpowiedzialny anioł z beztroskim uśmiechem popchnął tę kruchą istotę prosto w moje ramiona, ufając lekkomyślnie, iż moja moralność nie pozbawiona skazy wystarczy, by utrzymać ją przy życiu.

W tej wizji nie byłem dla Belli karą. To ona była moją nagrodą.

Potrząsnąłem głową na myśl o tym bezmyślnym aniele. Nie był dużo lepszy od harpii. Nie mogłem mieć dobrego mniemania o sile wyższej, która postępuje w tak niebezpieczny i głupi sposób. Przeciwnie okrutnemu przeznaczeniu mogłem przynajmniej stanąć do walki.

A poza tym nie miałem anioła stróża. One były zarezerwowane dla dobrych ludzi – takich jak Bella. W takim razie gdzie się przez cały ten czas podziewał jej anioł? Kto czuwał nad nią?

Roześmiałem się cicho zdziwiony, gdy uświadomiłem sobie, że w tym momencie ja pełniłem tę rolę.

Wampir aniołem – to już było przegięcie.

Po pół godzinie Bella wyprostowała się, nie leżała już zwinięta w kulkę. Jej oddech pogłębił się. Zaczęła mamrotać przez sen. Uśmiechnąłem się z satysfakcją. To była drobnostka, ale tej nocy Belli będzie się spało bardziej komfortowo dzięki mnie.

- Edward - westchnęła, uśmiechając się.

Na moment odsunąłem od siebie przykre myśli i pozwoliłem sobie na chwilę szczęścia.

TRANS BY LUTHIEN dla <http://twilightseries.fora.pl/>